ROZMAITOŚCI.

Dnia 1 maja, N.^er^ 18. roku 1847.

Trzy dni nad brzegami Orinoku.

Wielki dramat historyczny, który w roku 1789 zaczął odgrywać się w Paryżu, a wkrótce dla całéj Europy stał się widownią; zwabił pewnego młodego Szkota, nazwiskiem Williama; nad wybrzeża Sekwany. Byłto człowiek bogaty, bez przyjaciół i krewnych, pochodził bowiem z nieprawego związku znakomitego lorda angielskiego z ubogą dziewczyną szkocką, która wnet po swojém uwiedzeniu, pełna żalu i skruchy, usunęła się w samotną ustroń wiejską, i żyjąc tam z wyznaczonéj przez lorda skromnéj pensyi, jedynie wychowaniem swojego synka się zajmowała. Pomagał jéj w tém pewien stary kapłan anglikański, który niegdyś był misyjonarzem w Zachodnich i Wschodnich Indyjach, i tak mimo swego spokojnego powołania i skłonności do cichego, bogobojnego życia, obeznał się się czynnie ze światem i jego sprawami. Pod ich dozorem wyrósł William w szlachetnie myślącego i światowo uzdatnionego, przedsiebiorczego młodziana. Szczęśliwy traf nadarzył mu w dwudziestym roku życia posadę leśniczego w sąsiednich dobrach, a zarazem sprawił mu tę pociechę, iż mógł wspierać swoję starzejącą się już matkę. Atoli pomyślność ta niedługo trwała; w półtora roku odumarła go matka, a jéj stary, duchowny przyjaciel poszedł w kilka miesięcy do grobu za nią Teraz uczuł się William zupełnie opuszczonym, a pogodny, wesoły umysł jego zaczął się zasępiać ponurą melancholiją. Przyczyniły się do tego zapewne jeszcze inne uczucia; gdyż i serce także ozwało się o swoje prawa, i mówiło mu, iż nie może zostać zawsze tak sam jeden na świecie; atoli jałowe towarzystwo, w jakiém żył potąd, nic mu nie nastręczało, coby przynajmniéj w części zadowolić mogło marzenia i nadzieje duszy jego. Wtém zdarzył się wypadek, który mu niespodzianie drogę do tysiącznych nowych nadziej i doświadczeń otworzył. Ojciec jego umarł, a żałując swojéj ciężkiéj przewiny względem syna, o którego przez całe życie się nie troszczył, chciał mu to wynagrodzić, i zapisał mu znaczną część swego majątku. Mógł tedy William uwolnić się od służby, i wybrać się w świat, znany mu tylko z opowiadań starego nauczyciela, które chociaż go zwodniczym obrazem szczęścia, jakie się tam ludziom uśmiécha, nie łudziły, przecież przynajmniéj zadowolenie ciekawości i chęci poznania życia przyrzekały. Udał się tedy najprzód do Londynu, gdzie mu jednakże mimo wszelkich dziwów téj olbrzymiéj stolicy, grasujące w niéj zepsucie obyczajów, mianowicie u zamożniejszéj młodzieży, z którą jako pojedyńczy, niezawisły człowiek, wszedł był w styczności; tak dalece życie tameczne zmierziło; że już po kilku miesiącach opuścił to miasto, i wyjechał do Francyi, a ztamtąd do Włoch. W Rzymie zabrał znajomość z pewnym młodym francuzkim margrabią, Alfredem, który przed wielą swoimi rówiennikami wieku i stanu, zaszczytnie się odznaczał. W tymto właśnie czasie rozpoczęły się pierwsze poruszenia roku 1789, a młody Alfred zajął się żywo tym nowym kierunkiem swojéj ojczyzny. Również nie mógł się oprzéć i William wrażeniom, które na nim czyniły wiadomości o zdarzeniach w Paryżu; a gdy się z każdym dniem pocztowym powszechny spółudział dla toczącej się nad Sekwaną walki wzmagał, gdy słowa Mirabeau z każdym dniem potężniéj brzmiały, gdy nawet najodleglejsze zakątki Europy były wstrząśnięte, ile razy głos jego z mównicy się rozlegał — nie mogli obaj młodzieńcy pozostać dłużéj tak dalekimi widzami tego wielkiego widowiska, i pospieszyli do Paryża, Alfred: aby tam wziąć czynny udział w sprawach swojéj ojczyzny, William zaś, aby się rzucić w sam środek tego historycznego zamętu.

Nie mamy tu zamiaru wchodzić w bliższy opis ówczesnych zdarzeń, które jużto zawiodły już przewyższyły tyle nadziej i oczekiwań, jakie sobie o nich czyniono. Dość powiedzieć, że mijały miesiące i lata, a z niémi znikała coraz widoczniéj w piersiach Williama nadzieja, aby mógł tu być świadkiem wzniosłych, porywających wypadków. Słońce oświaty pogrążyło się w strumieniach krwi, i świeciło już tylko blaskiem piekielnych pochodni. Najszlachetniejsze usiłowania zostały pochłonione od

potworu dowolności, który zakrwawionémi pazury szarpał wnętrze ludzkości, i paszczę swoich nieustannie odrastających głów, żarłocznie roztwierał, aby to wszystko co tylko było zacnego i świętego, krwawą, jadowitą pianą splugawił. Już byłby dawno William do swoich gór rodzinnych wrócił, gdyby go był inny węzeł słodko-boleśném pętem do tych miejsc nie wiązał; byłato miłość ku siostrze Alfreda, Esteli, młodéj, pięknéj istocie, która dopiéro od roku do rodzicielskiego domu z klasztoru powróciła, gdzie się od dzieciństwa wychowywała. Estela nie mogła nie być wzajemną Williamowi, chociaż z dziewiczą wstydliwością ukrywała tę skłonność w głębi serca, jak poranną perłę rosy kryje lilija we wnętrzu kielicha swego. William zwierzył się jednemu tylko Alfredowi z swoją namiętnością, a ten sprzyjał serdecznie skłonności kochanków. Wszelako jakkolwiek czas obecny nie był odpowiednią porą do hołdowania przesądom, które przed dziesiącią laty zdały się niepodobnémi do przełomania; przecież w oparciu się właśnie temu panującemu duchowi czasu, chciał ojciec Esteli utrzymać swoję osobistą niepodległość i powagę, i chociaż niegdyś łagodny i pojednawczy, w każdym razie niezabobonny, prawdziwie poświęcić się gotów, i o wpojenie swym dzieciom tych samych zasad był staranny; zaciął się teraz w swoim ślepym uporze, dla tego, że czas zbyt daleko wymagania swoje posuwał. Jakoż i względem Williama oświadczał się stary margrabia wielokrotnie, iż teraz, kiedy wszystko, co jest szanowném i starożytném, zniewążoném zostaje; nie wyda swojéj córki inaczéj za mąż, jak tylko za człowieka najczystszego, nieposzlakowanego szlachectwa. Tymczasem burza rewolucyi wzmagała się coraz gwałtowniéj; że zgrozą domyśliwały się milijony, co ona wróżyła, lecz William upatrywał w tém źródło wszelkiéj nadziei dla swego własnego szczęścia. Nareszcie padła głowa królewska na rusztowaniu. Mimo wszelkie niebezpieczeństwo, jakie margrabię otaczało — przeto że się nie mieszał do zamieszek politycznych — nie chciał w żaden sposób opuścić Francyją, chociaż William usilnie na to nalegał, aby się schronił do Anglii. Jednakże teraz postanowił wydalić się z kraju, gdyż nie było już króla, któremuby swoje wierne służby mógł poświęcić. Ale ucieczka stawała się z każdym dniem trudniejszą, pomnożyły się niezliczone niebezpieczeństwa. Ztémwszystkiém za pomocą poufnego przyjaciela, powiodło się margrabiemu wyprawić znaczną część majątku do Ameryki, poczém zamyślił z całą swoją rodziną w przebraniu wynieść się za granicę. William dowiedział się od Alfreda o tym zamyśle, i był w najżywszéj trwodze, gdyż téj nocy musiało się rozstrzygnąć, czy Estela jego będzie. Postanowił więc mówić najprzód z nią, a potém z ojcem. Alfred ułatwił mu sposobność. Estela była już przebrana za sawojardkę, w którymto stroju miała uciekać.

„Och, czemuż nie jest w istocie, czém się być zdaje, biédną ubogą góralką?" — pomyślał William, obaczywszy kochankę.

„Przychodzisz pan pożegnać się z nami?" — zapytała Estela drżącym głosem, a łza zabłysła w jéj oku.

William pochwycił jéj rękę, przycisnął ją do ust, i ozwał się ze stanowczym wyrazem:

„Nie, nie przychodzę zerwać węzeł serc naszych, lecz tém mocniéj na zawsze go stwierdzić, jeżli Estela zechce mi tę rękę zostawić."

Estela milczała ze drżeniem, lecz nie umknęła mu ręki, którą William teraz do piersi swojéj przycisnął; ona odwzajemniła mu to ściśnięcie z nieśmiałością, ale z serdeczném uczuciem; William chciał ją w twarz pocałować, lecz Estela usunęła się, i rzekła ze łzami: „Tylko wtedy gdy mój ojciec zezwoli."

W téjże chwili wszedł stary margrabia; dość mu było spojrzéć, aby się domyślić, co zaszło; uprzedził więc słowa Williama, i rzekł:

„Poważam pana, kocham go nawet, ale nad wszystko, droga mi jest świętość odziedziczonéj zacności, i ustaw nienaruszoności honoru. Być może, iż wolna moja wola byłaby sobie dozwoliła, odstąpić od ścisłego przestrzegania téj świętości; atoli teraz, gdy nas przemocą do wszystkiego chcą zmusić, nie mogę ściągnąć na siebie podejrzenia, jakobym trwożnie niegodziwéj uległ przemocy. Bądź zdrów, i zachowaj nam swoję przyjaźń, a jeżli nam w istocie dobrze życzysz, tedy błagaj nieba, aby nas chroniło w ucieczce."

Słowa te wymówił margrabia bez wszelkiéj namiętności, z tak stanowczym wyrazem najmocniejszego postanowienia, iż nie było żadnéj nadziei zmienić jego zamysłu. Estela padła była w objęcia brata, i na jego piersi skryła swoje blade, łzami zalane lica. Margrabia wyszedł wzruszony z pokoju. William patrzył ponuro w ziemię, jakby tam szukał wszystkich owych pięknych marzeń nadziei, które nagle bezdenna przepaść zprzed oczu mu pochłonęła. „Bądź mi zdrowa, Estelo" — rzekł nareszcie, i ujął zwisającą rękę kochanki; teraz i ona obróciła się z boleścią ku niemu, skłoniła głowę na piersi jego, a pierwszy ich obopólny pocałunek był pocałunkiem wieczystego rozstania. Łzy miłości i przyjaźni, zmieszały się serdecznie żałosno i słodko z sobą, lecz los nieprzebłagany, przedarł się przemożnym, bolesnym nakazem między kochające serca, i rozerwał je — może na zawsze!

* * *

Przez wiele — wiele dni chodził William jak we śnie. Nawet krwią ziejące wulkany rewolucyi, wstrzą-

sające posadę ziemi, rwące związki społeczeństwa, nie przebudziły go z głuchego zanurzenia się w boleści. Uczynił to dopiéro czas, powolny ale wszystko przemagający. Ze zgrozą spojrzał wokoło siebie, i obaczył, jak zasiew zębów smoczych, rzucony między szlachetne ziarno swobody, wybujał w las szkaradno potwornych zarośli upasowych, które wszystko wokoło jadowitym zapowietrzały wyziewem; obaczył jak święte postacie prawa, wierności, niewinności, w zhukanych bałwanach oceanu, krwią zczerwienionych, daremnie o pomoc i ratunek wołały. Przejął go wstręt okropny, i postanowił Paryż opuścić. Jakoż należało mu spieszyć; już bowiem i on ściągnął podejrzenie na siebie, i gdyby nie wczesna przestroga, którą szczęśliwym trafem otrzymał, byłby równie jak wielu innych cudzoziemców, poniósł śmierć na rusztowaniu. Wszelako powiodło mu się umknąć do Havre, i dostać się tam na okręt hiszpański, który do Vera-Cruz odpływał. Kapitan okrętowy, nazwiskiem Perez, widząc jego posępność, starał się go wszelkiemi sposobami rozweselić.

„Zastaniesz pan wielu ziomków w Vera-Cruz” — rzekł do Williama. — „Przed sześcią tygodniami spotkałem na wysokości wyspy Teneriffy okręt jednego z moich krajowców, który trzynastu Francuzów wiózł tamże.”

”Jam nie Francuz, jam Szkot” — odpowiedział William ponuro

»Jeźli tak, tedy w istocie nie prostą drogą do ojczyzny powrócisz, gdyż nie mogę wylądować w Anglii, jako że mam bardzo pilną podróż, a wiatr nam sprzyja. Ztémwszystkiém, bądź dobréj myśli; Ameryka jest wcale ciekawym krajem, i pewnie nie będziesz żałował, żeś ją widział. W téj chwili mam do czynienia, ale jeźli chcesz się rozerwać, zejdź do mojéj kajuty, i przeglądaj tam książki lub najnowsze gazety, które z Francyi z sobą zabrałem.”

William zeszedł na dół, i wziął do rąk kilka numerów »Monitora”, którego oddawna już nie czytał. Ale jak tylko zaczął czytać, nagle pobladł, gdyż w spisie osób skazanych na gilotynę, zawartym w ostatnim numerze dziennika, wyczytał nazwiska starego margrabi, Alfreda i Esteli. Na ten piorun, zaćmiło się mu w oczach; wpatrzył się jeszcze raz w nieszczęsne pismo, łudząc się myślą, iż się omylił: lecz na próżno — nie omylił się; wszystko co tam uwidział, było straszliwą prawdą. Tak więc od jednego okropnego ciosu stracił przyjaciela i kochankę, którą zawsze jeszcze kiedyś pozyskać miał utajoną nadzieję — w téj błogiéj nadziei jedynie upatrywał blade światełko swego ciemnego żywota. To światełko zgasło, a jego życie zamierzchło mu nocną pustynią.

Trzy miesiące jednostajnéj podróży morskiéj, jaką miał odbyć, byłyby może przemogły nieugięty umysł jego, gdyby nie zacny Perez, który z tak serdeczną przyjaźnią doń się zbliżył, iż w nim prawdziwie drugiego, ale wiekiem starszego brata znalazł. Perez dokładał wszelkich usiłowań, aby rozpędzić smutek Williama, a że widział, iż opowiadki o cudach przyrody południowéj Ameryki, mocno go zajmowały, przeto nie przestawał rozwodzić się o nich, szczególnie zaś o spaniałych pustyniach nad brzegami Orinoku, które znał dokładnie. W ten sposób powziął William myśl użycia swojego czasu i majątku do bliższego zbadania tych okolic.

”Ktoż jest zdolniejszym do tego ode mnie” — mówił sam do siebie — »który posiadam to wszystko, o co inni dopiéro z wielką mozołą starać się muszą. Zatrudnienia mojéj młodości zahartowały mi ciało, i uzdatniły mię do wszelkiego rodzaju natężenia. Jako dawny leśniczy, władam wybornie strzelbą. Dzięki gorliwości mojego starego nauczyciela, nabyłem znacznych wiadomości w botanice, które późniejszémi postrzeżeniami w podróżach wzbogaciłem, a zatém jestem nawet umiejętnie poniekąd przygotowanym Wreszcie nie lękam się niebezpieczeństw, które innych podróżnych odstraszają, nie mam bowiem powodu być tak mocno przywiązanym do życia, abym go nie miał narazić dla przedsięwzięcia, które jakikolwiek pożytek światu przynieść może.” — Te myśli wkorzeniły się coraz głębiéj w duszę Williama, któremu to było zbawienną, uzdrawiającą pociechą, że mógł nadać pewien użyteczny cel swemu życiu.

Pewnego poranku zbudził Perez swego przyjaciela mówiąc: »Już widać ląd! Jeźli pomyślny wiatr potrwa, zawiniemy około południa do portu w Vera-Cruz. William wybiegł na pokład i w radosném wzruszeniu powitał sine wzgórza Vera-Cruz’u.

„Teraz, Perezie” — zawołał — »rozpoczniemy życie czynu. Z wędrowcy po morzu zostaniesz wędrowcą po lądzie i moim towarzyszem. Jutro sprzedasz swój okręt, i będziesz na przyszłość twą płacę kapitańską ode mnie pobierał.

Perez przyrzekł swe usługi na rok Williamowi, napominając go jednak, aby zbyt nie pospieszał, lecz przyzwyczaił się najprzód do klimatu i sposobu życia południowych Amerykanów, aby przybrał strój narodowy i wyuczył się dokładniéj języka hiszpańskiego, jakoteż przynajmniéj najpotrzebniejszych wyrazów mowy krajowców, zamieszkujących wybrzeża Orinoku, które najprzód zwidzić zamierzano. William przystał na wszystko.

Przybito do lądu Perez ułatwił swoje sprawunki z kupcami, dla których przywiózł towary, i sprzedał swój okręt. William doskonalił się w języku hiszpańskim, którego już w czasie podróży się uczył, i przyjął natychmiast dwóch tak zwanych Zambosów, to jest ludzi z dzikiego plemienia

tegoż nazwiska, osiedlonego nad Orinokiem, jużto aby się obeznać z ich mową, jużto aby ich jako tłumaczów i towarzyszów w podróż zabrać. Wśród tych przygotowań zapadł William ciężko na febrę, jaka w owych okolicach panuje, a mianowicie cudzoziemców nawiedza, a która i Williamą w śmiertelne niebezpieczeństwo przywiodła. Przez cały czas choroby nie odstępywał wierny Perez łoża Williama, i prawie jedynie swą troskliwością przy życiu go zachował. Tak upłynęły trzy miesiące; w tym czasie odzyskał William dawne siły, a przysposobiwszy się dostatecznie, wybrał się w drogę. Najprzód udał się z Perezem i swymi obudwoma Zambosami na mieszkanie przez czas niejaki do niedalekiéj wili, leżącej w czarownéj ustroni Kordillerów, i najętéj przezeń na kilka miesięcy, aby tam w czystém świéżém powietrzu górskiém zdrowie zupełnie odzyskać. Byłby on może dłużéj w têm pięknem miejscu zabawił, lecz pewna francuzka rodzina zamówiła wilę na całe lato, przeco William wyprowadzić się musiał. Ponieważ wszelkie spotkanie się z wychodźcami francuzkimi budziło w nim przykre wspomnienia; przeto przyspieszył swój odjazd, i opuścił to miejsce na kilka tygodni przed przybyciem nowych mieszkańców. Według ułożonego przez Pereza planu podróży, odpłynęli najprzód do Kumany, wzięli tam jeszcze kilku zaufanych ludzi i przewodników, i puścili się dość liczną, bo z pietnastu mułów składającą się karawaną w drogę przez góry, które ich od stepów (*lianos*) Kumańskich przedzielały. Przebywszy samotną ścieżkę przez grzbiet tego krzemienistego pasma, i zatrzymawszy się u krawędzi po tamtéj stronie; ujrzeli nasi podróżni przed sobą niezmierzone okiem sawany, które swoją zupełną jednostajnością i bezkresną rozstrzenią, niewymownie smutno spaniały widok przedstawiają. Byłoto właśnie w porze najgorętszych upałów letnich. Wszelka roślinność zamiera tu natenczas; drobne kupki popiołu okazują miejsce, gdzie przed kilkunastą dniami kwitły bujne rośliny gorącéj strefy. Wiatr ani się ruszył, tylko kiedy-niekiedy przeciągał lekki gorący prąd powietrza wzdłuż ziemi, i rozwiéwał popiół przetlałych roślin, który wznosząc się szarémi obłoki w górę, spadał drobnym pyłkiem na podróżnych. Gdzieniegdzie wysterczały pojedyńcze palmy z ziemi, oznaczając dawne łożysko wyschłego teraz potoku. Spieka ciężyła na oczy; pył roślinny, pełen ostrych, żrących cząstek, wnikał głęboko w skórę i sprawiał ból dotkliwy. Z wewnętrzną zgrozą, jednakże wzniosłémi uczuciami przejęty, spoglądał William na te obszary zamarłéj przyrody, które okropny obraz wygasłych uciech jego życia przedstawiały. Perez przybliżył się do niego i rzekł: „Tylko śmiało, przyjacielu! Nie zawszeto po takiéj pustyni rozżarzonego popiołu będziem wędrować; témci powabniéj wyda się nam chłód wieczorny w zieloność ikrain rzékami zwilżonych.” Ztémwszystkiém przebyta droga najwytrwalsze siły byłaby osłabiła; bez mułów, obładowanych rzeźwiącémi posiłkami, byłoby niepodobieństwem dalszą odbywać drogę, zwłaszcza gdy i umysł, ciągłą dręczony złudą, coraz bardziéj zniechęcał się, i omdlewał. Jest tam bowiem ziemia twardą powleczona korą, która niekiedy tak gładką i świécącą bywa, że połysnéj stali się równa, i poblizkie przedmioty odźwierciedla. W ten sposób tworzą się z obłokowych kształtów roślinnego pyłku, oświetlonego prostopadłémi promieńmi słońca, a odbijającego się w śniącéj powietrzni śklistéj owéj kory, różne fantastyczne widowiska, mające niejakie podobieństwo z fata-morganą. Zdaje się, iż w dali widać wysokie, w górę bijące wytryski chłodnéj wody; że olbrzymie drzewa rozprzestrzeniają wokoło cienisty dach z gałęzi; całe gaje wznoszą się z płaszczyzny, a gdy unużony i ziajany wędrowca pospieszy szybkiémi kroki ku temu upragnionemu miejscu spoczynku i pokrzepienia; zrywa się gorący wiatr, a wszystkie owe złudne rozkosze znikają nagle! Promienie słońca odbijają się z podwójną siłą od śklistéj powierzchni, powietrze rozléwa skwar, równający się prądowi żaru, buchającego z pieca hutnego; na całéj nieskończonéj równinie nie ujrzysz teraz już ani pnia palmowego.

Wreszcie, na krańcach widokręgu, postrzegają podróżni jakąś ciemną plamkę nie zmieniającą swego kształtu. Przygasłe oczy rozjaśniają się nową nadzieją i pociechą, gdyż owa plamka, jestto gaj mały, w którego cieniu spodziéwają się wędrowcy znaleźć chłodniejszy nocleg Na ten widok odżywiają się wyczerpane siły; nawet muły przeczuwają instynktem blizkie ocalenie, wyciągają głowy daleko naprzód, i rozwartémi nozdrzami ssą w siebie wiejące z tamtéj strony powietrze, przesiąknione wilgotną parą, która wyschłe ich gardziele błogo pokrzepia Po upływie pół godziny wskrzyknęli Zambosowie z radości, a gdy Willam zapytał co to znaczy, pokazali mu pojedyńcze zielone i tak cienkie ździebełka, że chyba tylko najbystrzejsze oko mogło je dojrzeć; wszakże byłoto już znakiem; że ziemia znowu pożywnych sił nabywa. Jakoż zaczęło w istocie coraz więcéj pojawiać się ździebeł; po kilku tysiącach kroków, zieleniało się już gdzieniegdzie po ziemi, wkrótce okazała się mała krzewina, wąziuchna łączka, wonieały już tuowdzie korzenne zioła, a wreszcie po dwóch godzinach, doszła nasza karawana do ciemnych, półkolem rozciągających się zarośli, które już tak dawno na widokręgu postrzeżone były.

William nie był wprawdzie zupełnie wysilonym, lecz żar słoneczny tak okropnie mu dojął, że mu się skóra popadała. Podczas gdy więc Perez z Zam-

bosami i resztą orszaku, przygotowaniem do noclegu się zaprzątnął, William, spieczony skwarem, udał się instynktowo ku cienistéj gęstwinie, gdzie z niewymowną radością małe przezroczyste jeziorko poza krzewami ujrzał. Najprzepyszniejsze łaźnie marmurowe nie mogłyby go były tak ponętnie zwabić ku sobie, jak ten chłodny stok leśny. Z dziką więc skwapliwością przedarł siz przez gałęzie, zrzucił suknie, i zanurzył się w fale. Przez kilka chwil doznawał najprzyjemniejszego orzeźwienia. Nagle jednak uczuł gwałtowne uderzenie, które od pięt wzdłuż kolan aż poza krzyże sięgając, wszystkie stawy i muskuły w nim zatrzęsło. Krzyknął w głos mimowolnie, i w tył się zatoczył. Tu ugodził go mocniejszy cios w kolana, jakby się słaba kula o nie otłukła. Zawołał z całego gardła o pomoc, i przejęty zgrozą nieznanych okropności, jął się do ucieczki, lecz owe drgające uderzenia powtarzają się ciągle, ogłuszają go i odejmują mu siły. Wtém uczuwa się nito wilgotném pasmem osnuty, i postrzega istotnie z śmiertelném przerażeniem, jak mu ciemny siwy wąż, wokoło członków się wije.

Niewysłowiona groza porywa go na ten widok i omracza mu oczy: zdaje mu się, iż go olbrzymia gadzina opasała, któréj tylko głowa i wyższa część ciała są widoczne, podczas gdy reszta tułowa jeszcze w głębi wody się kryje. Czując ponawiane wciąż uderzenia, mniemał William, iż to gwałtowne uściśnięcie potworu kości mu zgruchocze. Raczéj popędem instynktu i przestrachem rozpaczy niż świadomą wolą gnany, pospieszył wodą ku brzegu, i zaczął jeszcze głośniéj o pomoc wołać. Jęczący krzyk jego przedarł się przez krzaki, za któremi Perez z ludźmi około pakunków był zajęty. Oswojeni z mnogiemi niebezpieczeństwy, jakie tu nieobeznanemu z miejscowością cudzoziemcowi grożą, porwali się wszyscy wskok do broni, i pobiegli bez namysłu przez gąszcz za głosem Williama. Ujrzeli go po pas w wodzie, chwiejącego się i blizkiego omdlenia. W oka mgnieniu jeden z Zambosów zarzucił na Williama swój *lasso*, rodzaj kluczki na długim sznurze, tak szczęśliwie, iż go natychmiast można było na brzeg wyciągnąć. Przy tym ruchu i na widok tylu ludzi, spłoszony źwiérz wodny wypuścił łup swój, odwił się, i ukośnym łukiem spieszno w jezioro pornął.

Odzyskawszy przytomność — gdyż nadmiar zgrozy odjął był Williamowi zmysły na chwilę — ujrzał się na cienistéj murawie, otoczonym od Pereza i swoich wiernych Zambosów. Chociaż był przyszedł do siebie, czuł przecież gwałtowny ból i takie otrętwienie we wszystkich członkach, a najbardziéj w nogach, że nie mógł wcale wątpić o rzeczywistości owego stanu trwogi, w jakim się przed straceniem przytomności znajdywał.

„Byłeś w wielkiém niebezpieczeństwie” — ozwał się Perez głosem współczucia i z łagodnym wyrzutem — „Ale pocoż się tak daleko od przyjaciół zapuściłeś? Ogromny węgorz, największy i najsilniejszy jakiegom kiedykolwiek widział, owikłał cię był swojémi kłęby; i gdybyśmy byli nie przyspieszyli dość wcześnie, aby mu piersi twoich pierścieńmi nie dać otoczyć, byłbyś musiał życiem nieostrożność swoję przypłacić.”

Ztémwszystkiém już sama trwoga i skutki jéj, były dość szkodliwe dla Williama, gdyż oprócz przerażenia, jakiego doznał, był na całém ciele tak zgniecionym i wysilonym, iż ani stać, ani postąpić, a nawet na swoim mule utrzymać się nie zdołał. Musiano więc przez dwa dni spełna w tych chłodnych zaroślach wypocząć, poczém dopiero odzyskał William stracone siły i mógł w dalszą podróż wyruszyć. Już teraz droga nie wiodła ową straszną, spopielałą pustynią, lecz kraina stawała się coraz zieleńszą, pagórkowatą, krzewem i strumykami mile urozmaiconą. Gdzieniegdzie wyglądały zza krzaków pojedyńcze futory należące do właścicieli wielkich trzód *lamas*; stały one po większéj części o wysokie pnie palmowe oparte, w pobliżu źródeł, które z zacienia obficie jagodami okrytych krzewów malinowych wypływały, ale wnet znowuż w piaskach się gubiły. Po niejakim czasie zbliżyła się karawana ku zielonym wzgórzom, rozciągającym się wzdłuż brzegów rzéki Pao aż ku Orinokowi. Odtąd okazała się cała okolica jakby aksamitnym kobiercem najpiękniejszéj murawy, cienistemi krzewami i wysokiémi drzewy okrytą. Pierś Williama odetchnęła uczuciem błogiéj rozkoszy, jaka tylko na łonie dziewiczéj, dalekiéj od ludzi przyrody, uczuć się daje. Nikogo też nie zadziwi, iż myśli jego barwę łagodnego żalu przybrały; byłto jednak ów żal, który chętnie przy przedmiocie swéj straty, spomnieniem bawi, i śród zajęcia się nim, codziennie czerstwiéj zdrowieje.

Nareszcie stanęli podróżni nad brzegami Orinoku. Już teraz muły były nieużyteczne, gdyż wypadało dalszą podróż wodą odbywać. Kazano się przewieźć czółnem do Muitoki, gdzie Perez obszerniejszy najął statek, aby nim daléj ku źródłom rzéki podpłynąć, ile że tam brzegi są znacznie mniéj zamieszkane, a przeto dzikość natury więcéj powabów podróżnikom nastręcza. Można to było jeszcze uczynić, lubo ostateczna do tego pora, to jest schyłek najgorętszéj części lata, już się zbliżała, i oczekiwano niebawem pory deszczów, w któréj rzéka tak gwałtownie przybiera, że niepodobieństwem jest, oprzéć się jéj nawalności. Przejażdżka ta trwała kilka tygodni, w ciągu których obeznał się William bliżéj z językiem i obyczajami krajowców, a to głównie wymianą za różne potrzeby życia, lub też sprzedażą w ludniejszych okolicach za gotowe pieniądze

zabranego z sobą zapasu towarów. Przedstawiające się w czasie téj przejażdżki widowiska przyrody, były bardzo rozmaite i zajmujące. Lubo teraz przy końcu gorącéj pory roku woda najniżéj stała, przecież rzeka niekiedy nieprzejrzane tworzyła jezioro, z którego tylko gdzieniegdzie lśniące w słońcu skaliska wystérczały. Wzdłuż wybrzeży ciągnęły się gęste lasy, tak spojnie chaszczami zarosłe i splecione, że chyba tylko z siekierą w ręku można sobie było dalszą drogę torować Tuowdzie postrzegano jednak poprzedzierane już miejsca i pewien rodzaj ścieżek; byłyto ślady, którędy większe drapieżne źwierząta tych lasów ku rzéce zdążały, aby tamże pragnienie ugasić, albo przepłynąwszy rzékę, po tamtéj stronie za łupem gonić. Wzdłuż obudwóch brzegów leżały ogromne krokodyle, często w niezmiernéj liczbie, nieruchomo na piasku rozciągnione. William zapytał, czy one krajowcom bardzo niebezpieczne bywają.

„W istocie" — odrzekł Perez — „są one plagą tutejszych okolic, a zakosztowawszy raz mięsa ludzkiego, mają takowe za najpożądliwsze jadło, i z niesłychaną chucią o nie się ubiegają. Ztąd zazwyczaj te wsie najbardziéj od nich cierpią, które w porze deszczów wystawione są na wylewy Orinoku. Natenczas krokodyle całémi stadami na zalane osady napadają, i przegryzłszy ogromnémi zębiskami podwaliny chat, niszczą je całkiem, a mieszkańców żywcem pożerają. Mają zaś tak wielką siłę w paszczękach, iż bawołowi lub mułowi od razu całe udo oderwać, i najgrubsze kości jak cieniutkie pręciki zgruchotać mogą. Rzadko przecież stają się ludzie ich pastwą, zamiast czego żyją te potwory rybami i źwierzętami leśnémi. Z tych nie lękają się żadnego, nie wyjąwszy nawet najdrapieżniejszego rodzaju tygrysów, jaguara, który często okropne, lecz bezskuteczne walki z niémi staczać musi."

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 17ty i zawiéra: 1) O teraźniejszéj europejskiéj zarazie kartofli. 2) Krótkie opisanie główniejszych narzędzi ręcznych rolniczych w Anglii używanych, rycinami objaśnione. 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 4) Uwiadomienie.

Biblijoteka dla ludu. Niedawno w Wrocławiu założono biblijotekę publiczną dla ludu; każdy który od znanego i pewnego obywatela będzie miał świadectwo, może tam pożyczyć bezpłatnie książkę. Dotychczas ta biblijoteka ma tylko 1034 numerów, ale spodziewają się pomocy powszechnéj dla tak dobrego zakładu. »My zaś« — pisze donoszący o tém dziennik niemiecki — »radzimy, aby książki miały blaszane okładki, bo przez częste pożyczanie, książki będą bardzo uszkodzone.«

Wpływ rozwijania się drzew na meteorologiję. Od wielu lat czyniono w Anglii dostrzeżenia, iż ile razy jasion na wiosnę wcześniéj od dębu liście rozwija, zawsze rok wilgotnym i dżdżystym w przecięciu bywa; przeciwnie zaś, gdy dąb wcześniéj od jasionu w liście porasta, następują zazwyczaj w lecie upały i posucha. Pewien sławny agronom toskański, przytaczając to dostrzeżenie, wzywa wszystkich gospodarzy do zwrócenia na nie uwagi, ile że w razie stwierdzenia się téj przepowiedni, wielkie ztąd dla agronomii i meteorologii korzyści wypłynąć mogą.

Statystyka zbrodni w Irlandyi. W r. 1846 zdarzyło się w Irlandyi 12.380 zbrodni i występków, między témi: 176 zabójstw dorosłych ludzi, 160 zabójstw dzieci, 258 rozbojów, 3025 kradzieży bydła, 465 podłożonych pożarów, 158 razy strzelono do osob, wysłano 1783 listów grożących i t. p.

W sprawie eteru siarkowego i bawełny strzelniczéj. Pisma angielskie donoszą o kilku bardzo nieszczęśliwych wypadkach używania eteru. I tak niedawno temu umarła w Londynie niejaka pani Parkinson z odurzenia eterem, z którego przez kilka dni przebudzić się nie mogła, aż wreście śmierć nastąpiła; a sąd przysięgłych wyrzekł wyraźnie, iż nie operacyja, lecz jedynie użycie eteru było przyczyną śmierci. Podobne zdarzenie zaszło także w Lincolnshire, gdzie podobnież kobiéta w skutek wdechania eteru umarła, przyczém tameczny sąd przysięgłych podobny wyrok wydał, jak ów londyński. Osobliwszą rzeczą, iż w obu tych przypadkach pacyjentki mimo zbytniego, jak się późniéj okazało, odurzenia, nie były przeto pozbawione uczucia przy operacyi, ale owszem boleśnie jęczały i krzyczały. — Również i przeciw bawełnie strzelniczéj odzywają się mnogie głosy. W tajném laboratoryjum artyleryi w fortecy pruskiéj Spandau czynią się ciągle próby tym materyjałem, lecz wyznaczona w tym celu komisyja jest zupełnie o nieużyteczności bawełny strzelniczéj dla wojska przekonaną. Zbyt łatwa jéj spłonność, niebezpieczeństwo rozgrzania przy mocném opakowaniu, tysiączne okoliczności, mogące sprawić jéj wybuch, okropne skutki materyjału, z którym tak ostrożnie obchodzić się należy, a o którego użyteczności nié ma jeszcze dostatecznych dowodów — wszystko to każe powątpiéwać, aby bawełna strzelnicza rychło miejsce prochu zastąpić mogła, lubo może późniéj umiejętność, te wszystkie trudności usunąć zdoła.

Święcone staruszków. *Kuryjer warszawski*, donosząc o tegorocznych uroczystościach wielkanocnych w Warszawie, rozpoczętych o saméj północy solennym obchodem rezurekcyi w kościele św. Trójcy, a następnie święconém, najprzód u arcy-biskupa obrz. greck. Nikanora, potém zaś, o 3 godzinie z północy, u księżnéj namiestnikowéj — wspomina także o podobnéj pobożnéj uczcie w salach Towarzystwa warszawsk. dobroczynności, urządzonéj kosztem prezesa Towarzystwa dla utrzymywanych w tym zakładzie ubogich. Stoły były schludnie zasłane, i stosownémi do uroczystości darami obficie zastawione. Obecne damy Towarzystwa, mianowicie protektorka Towarzystwa, hr. Zofija Ożarowska, tudzież siostry miłosierdzia, gorliwie ubogim usługiwały. Najstarsi wiekiem ubodzy przewodzili. W tém szanownem gro-

nie znajdywało się 10 osób, przeszło albo blizko stóletnich; między innémi Magdalena Tchol 108 lat, Barbara Górniakowska 107 lat, Anna Żeglińska 105 lat, Marcyjanna Sosnowska 99 lat, i t. d. Najmłodsi z nich liczyli po 95 lat. Szczególna, że na 10 tak starych ludzi było 8 kobiét, a tylko 2 męczyzn, jeden z nich 99, drugi 95 lat mający. Razem tych 10 osób liczyło 996 lat. Wszystkie one były niegdyś w lepszym stanie, ale przeżywszy swoich spółczesnych i krewnych, znajdują dziś w opiece Towarzystwa zastępstwo pieczołowitości rodzinnéj.

Mięso końskie wchodzi w Czechach w powszechne używanie. »Gazeta pragska« donosi: »Krążące po niektórych pismach czasowych wieści o nadzwyczajnym niedostatku w okolicach Karlsbadu, ponieważ tamże mięso z zabitych koni pożywane bywa, należy w ten sposób sprostować; iż nędza między uboższémi klasami w okolicach Karlsbadu bynajmniéj jeszcze do tego stopnia jak w innych obwodach czeskich nie doszła; że jednak nie potrzeba istotnego głodu, aby się tak zdrowém pożywieniem, jakiem jest mięso końskie, nie brzydzić. Powszechne uprzedzenie przeciw temu mięsu jest już równie w Karlsbadzie jak i w wielu innych miejscach przełamane, gdzie z powodu drożyzny i niedostatku ziemniaków, konina za wyborne jadło służy. Potrzeba tylko jeszcze potwierdzenia zwiérzchności, a każdy ubogi będzie sobie mógł za 2 krajc. kupić publicznie funt koniny z tém samém bezpieczeństwem dla zdrowia, jak każdego innego mięsa. A że zwłaszcza w zimie nie brak koni, które aczkolwiek nieprzydatne do pociągu, są jeszcze dobre do zabicia; przeto osobliwie pora zimowa, kiedy nędza za zwyczaj największą bywa; zdaje się być stosowną do używania koniny.«

Chińscy aktorowie w Europie. Wkrótce będziemy mieli prawdziwy teatr chiński w Europie. Dnia 6 grudnia odpłynęła z Hongkong chińska szalupa, istna arka noejska, wioząca do Londynu cały transport chińskich zabawek i osobliwości wszelkiego rodzaju. Zarazem znajduje się na pokładzie trupa aktorów i baletu z orkiestrą, która w Londynie, Paryżu, i t. d. z traicznym, komicznym i lirycznym repertoarzem teatralnym »niebieskiego państwa« obeznać nas zamierza.

Komisyja rosyjskich lekarzy, wyprawiona do Egiptu w celu przedsięwzięcia badań nad zaraźliwością lub niezaraźliwością morowego powietrza, bawi już od niejakiego czasu na miejscu przeznaczenia, i jak pisma publiczne donoszą, znajduje wszędzie między gminem egipskim wielu ochotników, którzy za tanie wynagrodzenie, chętnie do eksperymentów lekarskich służą, i tę zarazę zaszczepiać sobie pozwalają.

Scena uliczna w Paryżu. Alfons Karr opowiada w najnowszym poszycie swoich »Os«: Niedawno przechodził wytwornie ubrany mężczyzna przez bulwary: kilka prawdziwych brylantów, pierścieni i kosztowności, które miał na sobie, wzbudzały zazdrość wielu przechodniów. Nagle nasz niemłody już elegant staje, chwieje się i pada na ziemię. Natychmiast zbiéra się wkoło niego liczne grono osób, niektórzy chcą go ratować, ale zapóźno — już umarł. Wtém przeciska się przez tłumy jakiś młody człowiek, patrzy na trupa, i rzuca się w największym bolu na niego, wołając: »O, mój ojcze! Mój ojcze!«— Poczém każe zajechać fijakrowi, obecni pomagają mu włożyć trupa do powozu; on wsiada ze łzami w oczach, i wymienia woźnicy pewien dom przy ulicy Jocquelet, dokąd ma jechać. Fijaker odjeżdża; tłumy się rozbiegają, wszędzie słychać serdeczne pochwały czułego syna i ubolewanie nad nagłą śmiercią ojca. Tymczasem fijaker zbliżył się już ku wyznaczonemu miejscu, gdy naraz cnotliwy syn, stanąć mu każe, i wysiada z powozu, mówiąc: »Wstąpię do mego brata, który tu mieszka; ty jedź powoli naprzód, natychmiast wrócę.« — Woźnica jedzie więc daléj, i zatrzymuje się wreszcie przed wskazanym sobie domem. Dopiéro tam wyświeca się rzecz cała: ów cnotliwy syn byłto przebiegły oszust, co swemu mniemanemu ojcu, którego za życia na oczy nigdy nie widział, w czasie przejażdżki zegarek, sakiewkę, złoty łańcuszek i brylantowe pierścienie zabrał.

Artysta na Sybirze. Zapewne mniemają czytelnicy, iż to jaki występca, skazany na okrutne wygnanie. Uchowaj Boże! Jestto pan August Mezer, młody skrzypek z Berlina, podróżujący dobrowolnie, w artystycznych celach, po Sybirze. Wyprawiwszy trzy świetne koncerta w Kazanie i Pensa, gdzie przy 37-stopniowym mrozie, wszystkich grą swoją aż do rozpalenia rozegrzał; bawi teraz w Symbirsku, i nie może się dość nachwalić gościnności, z jaką go wszędzie przyjmują. I tak np. w Kazanie miał wolne mieszkanie i stół u tamecznego gubernatora, brata słynnego miłośnika muzyki i kompozytora, jenerała Lwowa. Równie gościnnie podejmowali go gubernatorowie w Symbirsku i Pensa, którzy są nie tylko wielkimi wielbicielami muzyki, ale nawet swoję własną kapelę nadworną utrzymują. Z Symbirska zamierza nasz śmiały artysta udać się do Tobolska, gdzie mimo przykrego wrażenia, jakie sama nazwa tego miasta sprawia; panuje bardzo wystawne, zbytkowe życie i osobliwsze zamiłowanie muzyki.

Sałata królewska. Filip II, król hiszpański, będąc raz w żartobliwym humorze, przesłał swojéj trzeciej małżonce, Annie Austryjackiéj, na złotym półmisku sałatę, wraz z następującym liścikiem: »Serdecznie kochana żono! Posyłam ci sałatę, która zapewne będzie ci smakowała, gdyż ją sam przyprawiałem. Niech ci posłuży na zdrowie. Widzisz, że mam do wszystkiego niemałe zdolności, a nawet do kucharstwa.« — Ależ ta sałata królewska nie składała się z zwyczajnych przypraw, lecz z kosztownych klejnotów; topazy miały oznaczać oliwę, rubiny ocet, perły i dyjamenty sól, szmaragdy liście zielone. Kosztowała też ta sałata około 16.000 dukatów.

Walka miłosna. Jakób Arago opowiada w swojéj podróży wokoło świata następną historyjkę, którą na wyspie Bourbon słyszał. Dwie młode niewolnice z plemienia Kuas, obie bardzo piękne i prawie w jednym wieku; pokochały namiętnie swego młodego pana, który nic o téj namiętności nie wiedział. Obiedwie służyły najprzód bez wzajemnego ku sobie podejrzenia lub zazdrości, z najgorliwszém poświęceniem swojemu panu, w jednem jego przychylném spojrzeniu całą nagrodę i rozkosz upatrując. Nieznacznie jednak wśliznęła się zazdrość w ich serce, i skoro młody pan, Tabei w czémkolwiek dał pierwszeństwo, natychmiast Nadi, łzami się zaléwała, a wzajemnie Tabea z rozpaczy od zmysłów odchodziła, gdy pan, jéj przyjaciołkę w czém wyszczególnił. Aż wreszcie postrzegły się biédne, iż obie pana kochają. »Kochasz go?« spytała Tabea. »Ach, tak; i tyż go kochasz?«— »Ach, kocham, i jeszcze bardziéj od ciebie.« — »Nie, temu wierzyć nie mogę.« — »Jeźli ty mu się bardziej podobasz, tedy struje się.« — »Jeźli on ciebie więcéj odemnie kocha, tedy struję was oboje.« — »Słuchaj, Nadi, kochajmy go obie; ale niech żadna z nas ko-

chaną od niego wzajem nie będzie: umrzyjmy obie.« — »Dobrze, umrzyjmy.« — »Wyjdźmy na wierzchołek wulkanu i skoczmy w czeluście.« — »Nie, to byłoby zbyt nagłą śmiercią; cierpmy więcéj dla niego; umorzmy się głodem.« — »Niech tak będzie; a jeźli która ziarnko ryżu w usta weźmie, będzie to znakiem, iż go mniéj kocha od drugiéj.« — Tego ja pewnie nie uczynię.« — »Ani ja także.« — Jakoż obie nieszczęśliwe dotrzymały sobie słowa; bladły i słabnęły codziennie bardziéj na siłach, aż w końcu znaleziono je obie w wspólném objęciu, prawie bez życia i ledwie oddechające. Młody pan przybiegł do nich, i spytał: »Nadi, cóż ci to? powiédz.« — »Kochałam cię, i chcę umrzeć.« — »A tobie Taheo, coż?« — »I ja także ginę z miłości za tobą.» —

Kto właściwie prostakiem? Z powodu często w teatrze zdarzającego się głośnego gadania podczas przedstawienia, czyni »Dostrzegacz Sztutgarcki« następne publiczne zapytanie, któreby zaiste już dawno powinno być rozstrzygniętém. »Coż w istocie różni człowieka możniejszego od uboższego, jeźli nie większa ogłada, wyższe ukształcenie, prawdziwa towarzyskość i ludzkość, żywsze uczucie słuszności i prawości? Jeźli zaś taki możniejszy człowiek, będąc np. w teatrze, w ciągu przedstawienia poważnego dramatu lub też zachwycającéj opery, wszystkim swoim mniéj możnym sąsiadom, przez głośne gadanie drogo okupioną przyjemność psuje, rzadkiéj dla nich pociechy ich pozbawia; gdzież w takim razie, proszę mi powiedzieć, jest większa ogłada, wyższe ukształcenie, żywsze uczucie słuszności i prawości — czy w tym różnorodnym gminie, który z przesadnego może uszanowania dla dzieła sztuki, któremu się przysłuchuje, to nieprzyzwoite przerwanie powszechnéj uwagi cierpliwie znosi, czy w jednym i drugim z takich »możniejszych«, którzy się z pod wszelkiego ogólnego prawidła wyjętymi być sądzą?«

Jenerał Tom Thumb, znany karzeł amerykański, wrócił po trzyletniéj podróży do ojczyzny, zebrawszy osbie w Europie 150.000 funt. szterl., któreto złoto 178 razy więcéj od niego samego waży. Będąc już na okręcie, przyczynił się Tom sumą 50 funtów do składki na korzyść ubogich Irlandczyków. We dwie godziny po wylądowaniu przyjmował on swoich przyjaciół dawnym zwyczajem w muzéum Barnuma. Mały jenerał jest w całém znaczeniu tego wyrazu: chwatem, i powiada, że mimo swojéj zażyłości z koronowanémi głowami i dostojnémi osobami w Europie, pozostał duszą i ciałem republikaninem. Jak słychać, odbędzie on jeszcze podróż po Zjednoczonych Stanach, a potém usunie się z życia publicznego. Niewiadomo, czy się zaciągnie na wyprawę meksykańską.

Porównanie. Sekretarz prywatny szwedzkiego króla Gustawa III, popadł u tegoż w niełaskę, w skutek czego został mu zabroniony wstęp u dworu. Mimo to jednak musiał pan N. pełnić służbę jak wprzódy, z tą różnicą, iż mu teraz papiery i inne potrzebne ku temu materyjały, do domu przesyłano. Téj bolesnéj niełasce położył sekretarz koniec następnym wybiegiem: Wiedząc, że król codziennie o pewnéj godzinie ulicą, przy któréj mieszkanie jego było, przejeżdżał; kazał jednego razu przystawić drabinę do swego okna, i stanąć na niéj swojemu balwierzowi; potém wychylił się sam z okna, i dał mu sobie twarz, jak do golenia, namydlać. W tej chwili nadjechał król, i postrzegłszy to szczególne widowisko, zapytał, co ono znaczy? Sekretarz odpowiedział: »Jestto, wasza król. mości, mój balwierz, który u mnie popadł w niełaskę. Do domu wejść mu nie wolno, ale mimo to musi służbę swoję pełnić.« — Król roześmiał się, i odjechał mówiąc: »No, no, przyjdźże jutro do zamku.«

Biuro literackie w Londynie. Jeden z ostatnich numerów dziennika »*Times*« zmwiéra ogłoszenie i polecenie świéżo otworzonego »Biura literackiego« w Londynie. Przedsiębiorcy tego nowego zakładu ofiarują publiczności »wszelką literacką usługę za mierną cenę,« oświadczając, iż weszli w układy z »panami literatami,« którzy w swoich poszczególnych zawodach, za mistrzów są uznani. To »*Literarium Office*« przysposabia lub wypracowuje na żądanie, wszelkie literackie lub umiejętne dzieło do druku lub do ustnego wykładu. Potrzeba tylko szkielet głównych dat podać, według których ta pracownia literacka, wszystko w należytym, jasnym porządku, i dobornym, popularnym stylu układa, tak, iż można być pewnym najlepszego przyjęcia u publiczności dla zamówionego przez się utworu, a témsamém znakomitéj sławy autorskiéj dla siebie. Ktokolwiek życzy sobie napisać mowę, pamflet, grubą, uczoną księgę, niech idzie do biura literackiego, a znajdzie tam w każdym czy to literackim czy naukowym wydziale »szybką, zręczną i tanią usługę.«

Bandyta korsykański. Dziennik paryzki »*Siècle*« donosi z Bonifaccio w Korsyce: Zbójca Decius Viggiani, który już kilku śmiałémi rabunkami stał się postrachem naszego miasta, wprawił takowe obecnie w nową trwogę. Kazał bowiem przybić na drzwiach kościoła Santa-Maria odezwę w te słowa: »Dowiedziałem się, iż miasto Bonifaccio 6000 franków nagrody za moje schwytanie wyznaczyło. Otoż podobało mi się zażądać takiejże samej sumy na moje utrzymanie. Uwiadamiam więc mieszkańców, aby pod karą śmierci za bramę miasta nie wychodzili, dopóki nałożonego okupu nie otrzymam.« — Odtąd wychodzili mieszczanie tylko kupami i uzbrojeni za bramę. Lecz Viggiani nie przestał na tém, i chwytając się coraz energiczniejszych środków, zabronił dostawy zboża do miasta. Pewien włościanin imieniem Serra, nie usłuchał tego zakazu, i został dnia 3 grudnia trzema kulami skrytobójczo zamordowanym. Na domiar zuchwałości przywiązano zabitemu tablicę, na któréj stało nazwisko zbójcy, Viggiani, z wymienieniem powodu śmierci włościanina.

Lichwiarze. »Jak może lichwiarz, który tylko o procentach myśli, i kóry ma serce z kamienia, spokojnie umrzeć?« — rzekł ktoś w towarzystwie, i dodał: »Mnie zdaje się, że on na tamtym świecie kary nie uniknie, i prosto do piekła pojedzie.« — Być może« — odpowiedział drugi — »ale to nie wielka pociecha dla uciśnionych, bo oni koszt podróży zapłacą.»

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.